

Dawid Juraszek

Skala, która sprowadza cień

Pierwodruk w antologii „Bez bohatera”

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

Po trzydziestu minutach lekcji ostatnie dzieci przestały przejawiać zainteresowanie angielskim i dołączyły do reszty, przyglądającej się wielgachnemu pajakowi od dłuższego czasu spacerującemu bez celu po brudnych ścianach klasy. Robert powstrzymał westchnienie i próbował jeszcze wciągnąć rezolutną zazwyczaj dziewczynkę ze środkowego rzędu w wymianę grzeczności według ćwiczonego bezowocnie schematu *How are you? I'm fine*, ale i ona odpowiadała opornie, wciąż wykręcając głowę ku oknu. „Że też ten potwór nie chce zajść nad tablicę, dzieciaki przynajmniej patrzyłyby w moim kierunku” pomyślał ze złością Robert. W końcu machnął w myślach ręką i nieszczerze wyszczerzywszy zęby obwieścił:

– *Thank you, goodbye!*

W jednej chwili uczniowie jazgocząc poderwali się ze swoich miejsc i na wyścigi wybiegli z sali, by skorzystać z przedłużonej o dziesięć minut przerwy. „Skończyłem jak zużyta zabawka” pomyślał sarkastycznie Robert. „Już nie ścigają się po moje autografy, nie łapią za koszulę, nie wołają z drugiego końca korytarza. Znudziłem im się.”

Startł z tablicy wymalowane kolorową kredą dialogi i nie zwracając uwagi na narastający w korytarzach gwar zapatrzył się przez okno.

– Jeszcze ponad pół roku – mruknął. Gorący wiatr owiał mu twarz. Łagodne, zielone wzgórza otaczały rozrastające się miasto, na widnokręgu majaczyły posępne kontury Gór Południowochińskich. – Pół roku na zadupiu zapomnianym przez Boga i demokrację.

Czekała go dziś jeszcze jedna lekcja, a potem zakupy, kolacja w snobującej się na „zachodnią” restauracji i piwo na balkonie, na dobry początek weekendu wypełnionego faszerowaniem się najnowszą spiraconą produkcją filmową Hollywoodu. Tylko jak tu odpoczywać, kiedy lekcje i tak się odbywają, a przez nieszczelne okna już od siódmej rano słychać wrzaski wuefisty i jego podopiecznych? Pogoda byłaby świetna na morską kąpiel, plaża leżała prawie pod bokiem, ale Robertowi pozostawał suchy ład. Zawiązał furkocącą zasłonę w węzeł i rzuciwszy przycupniętemu pod sufitem ośmionogowi niechętnie spojrzenie wyszedł z klasy.

W samozwańczym supermarkecie, z klimatyzacją włączaną tylko od święta, jak zwykle śmierdziało zalatującymi zgniłą cebulą durianami oraz wszelakimi owocami morza. Nauczyciel z trudem precyzyjnie przycisnął się obok obleganego stoiska z rozpostartymi na deszczułkach suszonymi kaczkami i płataniną nieodgłowionych kurczaków, by z westchnieniem ulgi zapuścić się między regały ze słodyczami. Niestety, nie ustrzegł się czujnych oczu dziewcząt w czerwono-białych uniformach. Pierwsza wychynęła nieoczekiwanie zza regału z kosmetykami, z uśmiechem wręczając mu tubkę pasty do zębów Zhonghua. Jego *Bu yao* nie zrobiło na niej większego wrażenia, bo niezrażona wróciła zaraz z butelką płynu do kąpieli Shitao. Stłumił śmiech i potrząsając głową skrzyknął w najbliższą alejkę, ale tam już czyhały nań uroczyste bliźniaczki, wpychając mu do koszyka mleko sojowe. Uśmiechnął się wymijająco i przyspieszył kroku. Sezamki i suszone owoce pakował w gorączkowym pośpiechu, jakby zaraz miała się zakończyć oszałamiająca promocja. Jeszcze tylko piwo i będzie wolny. Wybronił się od chrupiek o smaku kraba i soczyście żółtych suszonych mątw, by wreszcie z przepełnionym koszykiem w jednej i czteropakami san miga w drugiej ręce podejść do kasy. Myśli zaprzętała mu krnąbrna grupa ze szkoły średniej, od zajęć z którą miał w poniedziałek rozpocząć pracę, więc nie od razu usłyszał pytanie wypowiedziane silnie schińszczo-angielszczyzną:

– Hello Robert! Jadłeś już?

To był Mike, młody pracownik supermarketu, na którego Robert natykał się czasem podczas zakupów. Straszliwy gaduła o pozostawiającej wiele do życzenia wymowie i prawdziwym imieniu brzmiącym niczym starożytny okrzyk bojowy; właśnie skończył układać pryzmę proszków do prania.

– O, cześć, miło cię widzieć, Mike – odpowiedział machinalnie Robert, wyciągając banknoty straszące zakolami Mao. Kombinował usilnie, jak skończyć rozmowę na tyle szybko, by nie urazić sympatycznego Chińczyka, a zarazem nie spóźnić się na autobus.

– Jak w szkole? – wypalił chłopak, ofiarnie łapiąc za jedną z siatek z zakupami. Znudzony ochroniarz sięgnął po rachunek i nie sprawdzwszy nawet zawartości reklamówek przybił na wydruku czerwoną pieczętkę.

– Normalnie, dzieciaki słabo jeszcze mówią, ale jakoś się dogadujemy. Mam już weekend, więc...

– A co ty będziesz chcieć robić w weekend? – Mike dłonią obciążoną siatkami próbował poprawić okulary na krótkim nosie. Nie widząc tęsknego spojrzenia Roberta, w pędzie minął stoisko z DVD.

– Nic szczególnego, pogoda jest niezła, poopalam się, pooglądam coś...

– Bo w sobotę święto jest w mojej wiosce. Ja jadę do rodziny w Longjiang i może ty miałeś czas? Wrócimy w niedzielę wieczór, ja mam wszystko przygotowane już, to nie jest żaden kłopot... – trąkotał nieporadnie, jakby chciał zagadać ewentualny sprzeciw nauczyciela.

Robert zrazu zachnął się na tę inwazję w swoją prywatność. Przyzwyczał się już do leniwych, samotnych weekendów i w pierwszej sekundzie propozycja wyrwania się gdzieś na jeszcze głębszą prowincję wzbudziła w nim sprzeciw, ale naraz odżyła chyba nie tak całkiem zepchnięta w niebyt ciekawość świata. W końcu przyjechał tu po to, żeby obcować z egzotyczną kulturą, pooddychać innym powietrzem, zobaczyć niezwykle krajobrazy, aha, no i jeszcze zarobić co nieco. Uśmiechnął się.

– ...wioska jest bardzo mała – ciągnął Mike – ale góry są piękne i rzeki i jeziora...

– Daleko stąd? – przerwał ten monolog Robert. Chłopak zamilkł, a potem odparł niepewnie:

– Pięć godzin wystarczy, musimy jechać z Guangjin do Yangchun dwie godziny, a trzy godziny do Longjiang...

– Kiedy musielibyśmy wyjeżdżać?

– Jutro rano, ósma rano, OK?

Robert przystanął i rozmyślał chwilę, nie widząc pełnego nadziei spojrzenia przyjaciela. W dłoni ważył ciężar czteropaka, a w duchu rozważał, czy przez dwa dni nieobecności karaluchy nie rozpanoszą mu się w mieszkaniu na dobre.

– Robert... – Mike'a najwyraźniej coś gryzło. Nauczyciel podniósł głowę i spojrzał ciekawie w ukryte za grubymi szklami źrenice. – Bo ja pracę inną znalazłem. Może będę pracował w sklepie w Shanming od tygodnia następnego. Tu już mnie nie będzie.

Robert poczuł, jak coś ściska go w żołądku. Nie wahał się dłużej.

– Jedźmy!

Mike nie mógł się bardziej rozpromienić.

– Jutro siódma trzydzieści przyjechałem pod szkołę taksówką, OK?

– OK! Będę na ciebie czekał.

Podali sobie ręce i uśmiechnięty chłopak pomknął z powrotem do pracy. Robert patrzył za nim chwilę. A więc Mike wyjeżdża... Kto mi teraz podpowie, która kiełbasa jest pikantna, a która łagodna? Próba skwitowania sytuacji kpiącym uśmiechem nie powiodła się. Odwrócił się i wyszedł w spiekotę miasta. Starając się myśleć o zdjęciach, które zrobi przez

weekend, otworzył paczkę solonych suszonych owoców i ruszył w stronę przystanku autobusowego.

Autokar do Yangchun był jeszcze klimatyzowany i serwowano w nim ciepłą wodę destylowaną, ale już trzygodzinna jazda do Longjiang rozklekotanym gratem, pamiętającym chyba Długi Marsz, byłaby koszmarem, gdyby nie krajobrazy, wyłaniające się co i rusz zza zakrętów wyboistej drogi. Robert nie był w stanie odłożyć aparatu. Nie zważał na bezlitosne siedzenia z metalowych rurek i ogłuszająco grzechoczące okna, otwarte na oścież z powodu piekielnego gorąca. Rozpierała go radość z odkrywania coraz to nowych miejsc, której nie do końca jednak zabiła trzymiesięczna rutyna szkolnego życia i bezbarwne miasto, gdzie przyszło mu pracować. Z początku Mike próbował pełnić rolę przewodnika, ale ryk torturowanego silnika, nadużywanego klaksonu i pędzącego powietrza oraz problemy z własną wymową skutecznie go do tego zniechęciły. Nie niepokoiony Robert mógł bez przeszkód zanurzyć się w transie beztroskiej podróży.

Łagodne wzniesienia porośnięte ni to wybujałą trawą, ni to niskimi krzewami rychło przeszły w piętrzące się pod niebo olbrzymy, pokryte zwartym gąszczem mrocznej zieleni. Niektóre wzgórza odarte były z naturalnej roślinności i pokryte siecią spiralnych ścieżek, wijących się wokół rzędów karłowatych krzaczków. Wzdłuż drogi przemykały niechlujne wioski, pośród lśniących pól ryżowych z rzadka mignął stożkowy kapelusz, na poboczach pasło się długorogie bydło o gładkiej sierści. Spomiędzy palm wyłaniały się skały, strome i nagie, u których stóp tkwiły przycupnięte pobudowane z byle czego chaty. Naraz rozbłysła tafla wody i autobus przez moment pędził wisząc nad brzegiem rozległego jeziora. Robert nie nadązał z uwiecznianiem zaskakujących go co chwilę widoków.

Przy wtórze niemilkącego klaksonu przejechali przez centrum małego miasteczka. Setki miejscowych płały się w przykrych zapachach targowiska, którego jaskrawych szczegółów Robert nie omieszkał udokumentować. W pamięci aparatu zapisał krwawe ochłapy walające się w pyle ulicy, klatki z bezkształtną masą upchniętych kurczaków, wiszącego pod okapem psa. Po chwili znowu zanurzyli się w kaskadach bujnej zieleni, tym razem wspinając się śmiałą serpentyną na przełęcz, z której rozpostarł się nieogarniony widok na dolinę. Ledwo ozwał się dźwięk aparatu, a już toczyli się coraz szybciej w dół, na spotkanie płynącej pomiędzy szczytami potężnej rzeki. Szerokie liście pochylały się nad szosą, szeleściły o dach, strzępiły na krawędziach okien. Duchota napierała. Gdyby nie genialny w swym okrucieństwie pomysł konstruktorów autobusowych foteli, Robert siedziałby już w kałuży własnego potu.

Mike klepnął w ramię pochłoniętego widokami nauczyciela. Autobus zatrzymał się na skrzyżowaniu z drogą gruntową, z jednej strony wysadzaną bambusami, z drugiej stanowiącą granicę pól ryżowych. Tylko oni opuścili pojazd, który z hałasem potoczył się dalej i wnet zniknął za szpalerem drzew. Robert poprawił plecak i miał właśnie zapytać Mike'a, czy to daleko, kiedy rozległ się warkot i z piskiem zajęchało im drogę kilka motorów.

Robert pytająco spojrzął na Mike'a, ale ten bez słowa zaczął się przepychać do przodu, torując sobie drogę torbą podróżną. Robert zrobił to samo, kiedy stojący najbliżej motocyklista z uśmiechem zatarasował mu przejście. Nauczyciel skręcił, lecz w tej chwili drugi motocykl prawie najechał mu na stopę. Mężczyźni mówili coś i szczerzyli zęby, ale Robert nie znał języka na tyle, by zrozumieć, o co im chodzi. Bezradnie spojrzął na Mike'a – chłopak nie radził sobie wiele lepiej. Dłuższą chwilę trwała gardłowa wymiana zdań, robiło się coraz głośniejsze. Radość z podróży prysła jak bańka mydlana. Robertowi zrobiło się nieswojo. Nie miał pojęcia, kim są ci faceci i czego chcą, ale zaczął już żałować, że opuścił bezpieczne i cywilizowane Guangjin. Mike nadaremnie starał się przekrzyczeć mężczyzn.

Niektórzy z nich podkręcali hałaśliwie obroty, ale nie odjeżdżali. Nagle drogą zbliżyło się dwóch wieśniaków na skrzypiących donośnie rowerach, na widok których Mike zamachał ręką. Motocykliści, jakby zniechęceni, powoli zaczęli się wycofywać, bezceremonialnie potrącając przy tym stojącego bezradnie nauczyciela, a potem z rykiem silników odjechali. Rowerzystami okazali się być zasuszony staruszek o wyglądzie pustelnika i młodzieniec w wieku Mike'a.

– To mój ojciec i mój kuzyn! – wykrzyknął z ulgą chłopak i machając ponagląco na wciąż wmurowanego w ziemię Roberta zaczął witać się z rodziną, ciekawie spoglądając na obcokrajowca.

– Co to byli za ludzie? – zapytał nauczyciel. Pierwsze lody zostały już przełamane, powitalne *Ni hao* wyrecytowane, a Robert i ojciec Mike'a posadzeni na siedzidełkach, podczas gdy młodzieńcy pedałowali zawzięcie.

– Może chcieli, żebyśmy z nimi pojechali – sapiąc odparł chłopak. – Jeżdżą za autobusami, żeby pieniądze dostać ludzi wożąc z autobusu do domu. Bo mój ojciec i mój kuzyn przyjechali to nie musielibyśmy z nimi jechać. Inaczej to jest niebezpieczne. Może to nie są bardzo dobrzy ludzie.

Robert pokiwał głową. Jakoś odechciało mu się wyciągać aparat, choć widoki mogły przyprawić o zawrót głowy. Zresztą musiał się mocno trzymać.

Mimo wyjaśnień przyjaciela Robert nie do końca pojmował, na jakie w końcu święto został zaproszony. Zrozumiał tylko, że wieczorem zjadą się wszyscy okoliczni mieszkańcy i przy ogniskach odbędzie się uczta. Na razie przyjezdnych ugoszczono zupą z łykowatych łodyg i kościstym kurczakiem. Podobna dieta obowiązywała w szkolnej jadłodajni i nauczyciel był szczęśliwy, że mógł sobie pozwolić na jedzenie w restauracjach. Teraz jednak nie wypadało odmówić; trzeba było bronić honoru Zachodu dzielnie walcząc z pałeczkami, dyskretnie wypłukać kości kurczaka, poszatowanego miejscowym zwyczajem w całości, i odpowiadać na banalne pytania zadawane przez wszystkich członków rodziny za pośrednictwem Mike'a.

Dom nie grzeszył zamożnością. Pod oknami pasła się brudna łaciata świnia i ganiały kury, śmieci poniewierały się, gdziekolwiek spojrzeć, sprzęty domowe nadgryzł zęb czasu. Na szczęście oko można było zawiesić na siostrze Mike'a, najwyżej dwudziestoletniej dziewczynie o delikatnej urodzie i nieśmiałym spojrzeniu ciemnych oczu. Robert właśnie zastanawiał się, jak spędzi te kilka godzin dzielące ich od wieczornej uczy, kiedy Mike rzucił, nakładając kolejną porcję zieleniny:

– Moja siostra Li zabierze cię na Skagę, Która Sprowadza Ciebie. Jest tam bardzo pięknie, zobaczysz.

Niedługo potem spacerowali wąską dróżką ku rzece. Li знаła angielski gorzej niż Robert chiński, czyli wcale, a jego imię wypowiadała tak cicho, że prawie bezgłośnie, ale dzięki temu zapanowała między nimi milcząca więź. Chętnie dał się zaciągnąć ku rzece, która okazała się ogromnym rozlewiskiem. Na leniwych wodach nieliczne łodzie cicho czekały na zdobycz. Jakiś czas szli wzdłuż brzegu, a potem ruszyli na przelaj, ku kępie drzew, za którą wznosiło się potężne wzgórze.

Spomiędzy liści dobiegało głośnie i uporczywe bzyczenie, jakby setek elektrycznych silniczków. Robert przez chwilę starał się bez słów dać znać Li, że interesuje go źródło tego dźwięku, aż wreszcie desperackim:

– Bzzzzz! – wywołał na ustach dziewczyny uśmiech zrozumienia. Li uklękła i chwilę szukała czegoś w trawie. Kiedy się podniosła, na jej dłoni leżało truchło smoliście czarnego owada długości grubo ponad cal, z parą podwójnych żyłkowanych skrzydeł i żółtawymi

oczkami po bokach topornego łba. Robert wzdrygnął się ze wstrętem, a Li pociągnęła go w głąb lasu, nad którym piętrzyło się stożkowate wzgórze.

To, co z dala wydawało się bajkowym, jednolitym wzniesieniem pokrytym szczelnie roślinnością okazało się spękaną skałą usianą luźnymi kamieniami, gdzie we wszechobecne szczeliny wczepiały się szeroko rozgałęzione krzewy. Li odszukała wąską i zdradliwą ścieżkę, którą zaczęli się wspinać. Nie doszli na szczyt; już po jednej trzeciej dystansu oboje byli zbyt zmęczeni, by kontynuować wspinaczkę, ale i stąd widok na rozlewisko rzeki i górzyste okolice wioski robił niesamowite wrażenie. Robert czuł się jednym z nielicznych obcokrajowców, którym zostało dane podziwiać te okolice. Wioska była bardzo odizolowana od świata; w przewodniku kupionym jeszcze przed wylotem nie było wzmianki o dolinie Longjiang. Z tym większym zapalem pstrykał zdjęcia na prawo i lewo. Przejrzeć i przebrać miał je zamiar później.

Zmierzch zaskoczył ich nad jedną z wartkich strużek. Do domu wrócili w kompletnej ciemności. Przygotowania do świętowania trwały już w najlepsze. Póki co Robertowi wskazano miejsce na trawiastej nierówności terenu, gdzie spoczął zmęczony z butelką wody w ręce. Mieszkańcy wioski podchodzili co jakiś czas, by niezdatnym *Hello* i zamaszystym uściskiem dłoni powitać przybysza. Wszędzie uwijały się dzieci, zapalając kiczowate lampiony i przerzucając się petardami. Wreszcie zapłonęły ogniska, a zaaferowany dotąd Mike mógł zająć się swoim gościem.

Robert nie spodziewał się grilla, ale jak powiedział mu Mike, będzie brał udział w niczym innym, jak właśnie w barbecue. Po obiedzie Robert na tę wieść odczuł miłą czczość w żołądku, dopóki nie przyniesiono mu półsurowych krewetek i twardych jak szczapki drewna rybek. Jadł nieszczęśliwy, przełamując się wewnątrz, dopóki kierowana kobiecą intuicją Li nie przyniosła pieczonego mięsa. Na jego serdeczne a niezgrabne Xiexie dziewczyna zareagowała perlistym śmiechem i faszerowała go pieczystym, aż wreszcie kolejnym, tym razem znużonym podziękowaniem rozbawił ją znowu. Sfermentowane wino i kilka butelek piwa zwińczyło zagadkową wioskową uroczystość.

Obudziło go brzęczenie much. Leżał w spartańsko urządzonym pokoju w towarzystwie chrapiącego w najlepsze Mike'a. Wstał cicho i wyjrzał za okno. Musiało być dość wcześnie, bo nigdzie gęstwy zieleni nie przebijały promienie słońca; pewnie nie wstało jeszcze znad gór. Wciągnął buty, zabrał aparat i cicho wyszedł na podwórze, a potem, kierowany nagłym impulsem, ruszył przed siebie.

Gromadka wróblopodobnych ptaszków przefrunęła przez drogę. Dopiero tu dawało się odczuć, jak mało tych zwierząt zamieszkiwało Guangjin, gwarne miasto ogołocone z wszelkich drzew z wyjątkiem palm, i tak w połowie sztucznych. Tutaj wracały naturalne proporcje. Robert szedł powoli, całym sobą chłonąc atmosferę okolicy. Po raz pierwszy od przyjazdu był zupełnie sam w otoczeniu przyrody. Upchnięta gdzieś po kątach współczesnego miasta egzotyka tu wychodziła na światło dzienne, pozwalając przybyszowi rozkoszować się nią do woli. Pod stopami chrzęścił piach i trawy, nad głową bzyczały gargantuiczne muchy, coraz gorętszy wiatr wzbierał pośród gałęzi. Magiczna droga zdawała się nie mieć końca.

Między pniami zamigotała tafla jeziora. Robert wyszedł na nadbrzeżną łąkę, nad którą górowała regularna sylwetka Skały. Przez chwilę rozważał, czy nie wdrapać się tam znowu, ale porzucił ten pomysł. W źdźbłach wysokiej trawy wrzało rozpasane życie owadów strefy podzwrotnikowej, długonogie osy co rusz przelatowały mu koło twarzy. Słońce wychynęło zza szczytów okalających dolinę i złociło już bez mała całą tafłę. Toń była spokojna, daleko majaczył mikroskopijny kształt łodzi rybackiej.

Robert ujął aparat i zmierzył się do zdjęcia. „Jak to możliwe, że nie ma tu jeszcze parkingów, kawiarni, bileterów i turystów” pomyślał. Zachwyty mieszał się z dziecinny, podnieconym lękiem, że może jest oto ostatnim człowiekiem, któremu dano szansę uwiecznienia nieskażonego piękna tego miejsca, zanim zwali się tu plaga masowej turystyki.

Ciemny kształt wszedł w pole widzenia; ktoś wpław przemierzał rzekę-jezioro. Nie dowierzając swym oczom Robert ustawił maksymalny zoom. Tak. To była Li.

Płynęła sprawnie, niemal bez wysiłku. Opalone ramiona raz po raz załamywały granatowozłotą powierzchnię. Powoli zbliżała się do brzegu, nieco na prawo od Roberta, rozważającego z nieodgadzionym uciskiem w piersi, czy wolno mu zrobić zdjęcie. Zanim podjął decyzję, Li dostrzegła go i zamachała, rozpryskując perlistą kurtynę kropel. Palec nauczyciela drgnął, obraz zapadł w pamięć aparatu i wyświetlił się na ekranie. Nie mógł być lepszy.

Dziewczyna łagodnym łukiem zaczęła zbliżać się do brzegu w miejscu, gdzie oczekiwał jej Robert. Mężczyzna opuścił dłoń i przez chwilę zastanawiał się, gdzie ukryć aparat. Wreszcie wsunął sprzęt w futerał, przesunął na plecy i zakrył podkoszulkiem. Kiedy podniósł głowę, Li już nie było.

Po dziewczynie nie został najmniejszy ślad na gładkiej toni, złocącej się powierzchni nie burzyła najśłabsza fala. Robert poczuł, jak strach ściska go za gardło. Zrobił jeden krok przed siebie, potem drugi, ale nigdy do końca nie ujarzmiony lęk przed wodą ożył. „Nie wejść” pomyślał gorączkowo. „Trzeba kogoś zawołać”. Mimo tego spróbował się przełamać, zrobił kolejny krok i niemal dotknął butami wilżących brzeg falek. Toń była przeraźliwie pusta, brak ciemnego, ruchomego kształtu krzyczał ku Robertowi z całych sił. Łódź na horyzoncie była mniejsza niż punkt, widocznie płynęła w drugą stronę. Cofnął stopę, kiedy śmielsza fala ochlapała mu czubek buta, a potem odwrócił się i puścił biegiem.

Z magii drogi nie zostało nic. Nagie gałęzie chłostały mężczyznę po policzkach, duszny wiatr zatykał płuca, ociężałe osy o włos unikały zderzenia. Czarny kształt mignął Robertowi tuż koło twarzy, po barku rozlał się piekący ból. Panicznym ruchem zmiażdżył owada. W pędzie minął właściwy rozstaj. Nagle rozlało się przed nim pole ryżowe. Brnął przez moment w wodzie, nim zrozumiał, że pomylił kierunki. Ciężko dysząc zawrócił i rozglądając się w panice szukał jakiejś wskazówki. Na chybił trafił rzucił się desperacko przez łąkę, ku stromej skałce, na której szczycie bambusy walczyły ze sobą o słońce. Wyminął przeszkodę modląc się prawie na głos, by ujrzeć za nią kogoś znajomego. Tak! Dom Mike'a był zaledwie kilkadziesiąt metrów przed nim.

– Mike! Mike! – krzyknął Robert wbiegając na podwórze. Spłoszone kury pierzchały na boki. – Pomocy! Mike! Gdzie jesteś!

W oknie pojawiła się ciemnowłosa głowa. Przez jedno uderzenie serca Robert myślał, że to Mike, ale rozpoznał bratanka gospodarza. Z przerażeniem uświadomił sobie, że nie pamięta prawdziwego imienia przyjaciela, tylko ten głupi, samozwańczy przydomek.

– Li! – krzyknął w zamian i wpatrzył się jak najwymowniej umiał w oczy chłopaka. Ten spoglądał na nauczyciela tylko przez moment, potem odwrócił się i zniknął we wnętrzu.

Hałasy dobiegające z budynku niewiele uspokoiły Roberta. Nerwowo okrążył domostwo, nawołując Mike'a raz po raz. Kiedy wreszcie w drzwiach pojawiła się postać przyjaciela, skoczył ku niemu i jął pośpiesznie tłumaczyć:

– Li się topi, tam w rzece, musicie ją ratować, szybko!

Mike wydawał się nie rozumieć powagi sytuacji. Może sprawiła to szybkość, z jaką Robert wyrzucał z siebie słowa, może to jego własne braki językowe, dość, że w ciemnych oczach nie pojawiał się błysk zrozumienia.

– Mike, głuchy jesteś?! – złapany za ramiona chłopak telepał się niczym szmaciana lalka, wciąż z tym samym bezrozumnym wyrazem twarzy. Robert zacisnął szczęki.

– Li-się-topi – wycedził powoli, hamując narastający gniew. – To-pi-się!

Mike wydał z siebie ni to westchnienie, ni to jęk i raptownie wyswobodził się z uchwytu.

– Chodźmy – rzucił niewyraźnie i ruszył przed siebie, nie oglądając się na Roberta. Ten, choć jeszcze przed chwilą chciał udusić chłopaka za bezczynność, stropił się jego nagłą decyzją. Do ratowania Li trzeba było kogoś więcej, niż tylko brata i znajomego, szczególnie, jeżeli ten ostatni nie umiał pływać.

– Sami nie damy rady, Mike! – krzyknął w kierunku odzianych w poliestrową koszulę pleców. Jedyłą odpowiedzią było rzucone w przestrzeń:

– Chodźmy!

Ale Robert stał dalej. Chłopak obejrzał się za siebie i przystanął, a potem krzyknął z wyczuwalną emocją w głosie:

– Robert, nie jest czas, szybko, szybko! – i podbiegł kilka kroków. – Chodźmy szybko!

– Do cholery, za mało nas jest!

W nauczycielu coś pękło. Ten dumny Chińczyk nie rozumiał powagi sytuacji! Gdyby skrzyknął rodzinę, sąsiadów, kogoś z łodzią, mógłby uratować siostrę, a tak tracili czas na bezsensowne przekrzykiwanie się. Robert zacisnął pięści a potem odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Musiał dać reszcie familii do zrozumienia, że potrzebuje ich pomocy. Jak, jeszcze nie wiedział. Wiedział tylko, że musi mu się udać.

Mike zawołał za nim, ale Robert nie zwrócił na to uwagi. Wpadł do głównego pokoju; półmrok przystopował go na chwilę. Otworzył szerzej porażone światłem dnia oczy i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Kuzyn Mike'a gapił się z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy, czworo uczestników wczorajszego grilla przycupnęło na ławie, głowa rodziny siedziała kiwając się na zydelku, a Li... Tak, Li. Kuliła się w kącie.

Mike wpadł z rumorem i zatrzymał się dopiero na plecach Roberta. Wszystko znieruchomiało, prócz staruszka, który nadal kiwał się miarowo. A Li stała wciśnięta w kąt, pod spojrzeniem mężczyzny kurcząc się coraz bardziej, jakby chciała wtłoczyć się jeszcze dalej w zagłębienie muru.

Mike, którego niema obecność Robert czuł za sobą, zaszeleścił i spróbował precyzyjnie się do pokoju. Nauczyciel spojrzał w ukryte za grubymi szklami oczka.

– Przecież Li tu jest – wybąkał i złapał za szczupłe ramię. – Co to ma znaczyć?

Chłopak poprawił okulary i pociągnął nosem.

– Co ci się stało w rękę? – zapytał niż tego, ni z owego.

Robert spojrzał po sobie. Spod naciągniętego kołnierzyka koszuli wyłaniał się gruby czerwony obrzęk. Piekł jak jasna cholera, ale nie było czasu myśleć o bólu.

– Nieważne, osa mnie ukąsiła. Co się tu dzieje?

Mike powtórzył słowa szeptem, jakby chciał przyswoić sobie nową frazę, a potem z głupia frant zapytał:

– Li szukałeś? Ona jest tam.

Robert zmrużył oczy.

– Słucham?

Chłopak uśmiechnął się i znowu poprawił okulary. Jako jedyny nie mieszał słów „ona” i „on”, tak jak to robili tu wszyscy. – Co od niej chcesz powiedzieć, to ją zapytam.

Uwolnił się z uchwytu i wszedł do pokoju. Na kilka rzuconych szybko słów ojciec odpowiedział nie przerywając kiwania się, a potem kuzyn mruknął coś po nosie, na co Mike gestykulacją i podniesionym głosem nakazał mu opuszczenie pokoju. Li wciąż cicho stała w kącie.

– Herbaty? – Mike nieoczekiwanie zwrócił się do Roberta, który nie od razu zrozumiał pytanie.

– Co?

– Napijesz się herbaty jaśminowej? Jest pyszna.

Nauczyciel machinalnie pokiwał głową. Sąsiedzi dotychczas przycupnięci na ławie zerwali się jak jeden mąż i ruszyli pod ścianę naprzeciwko. Zaskoczony Robert cofnął się kilka kroków, kiedy go mijali.

– Siadaj – zawołał Mike, wędrując od półki do półki, od stolika do stolika. – Zaraz będzie herbata.

Szeroka, twarda ława stanowiła dobry punkt widokowy na wciąż stojącą w kącie Li. Robert chciał coś do niej powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Dziewczyna wydawała się pogrążona w swego rodzaju modlitwie; zamknięte oczy i drżące co rusz usta sprawiały wrażenie oddawania się medytacji. Wiekowa głowa rodziny najwyraźniej znajdowała sadystyczną przyjemność w epatowaniu domowników monotonnym skrzypieniem zydła. Grupa mieszkańców wioski stała pod ścianą i biernie patrzyła przed siebie, a każdy w inną stronę. W tej sytuacji mechaniczny uśmiech Mike’a i jego bezcelowa krzątanina dopełniały tylko niezrozumiałego obrazu.

Do pomieszczenia wmaszerował kuzyn, niosąc parujący czajnik z kolorowym smokiem. Mike porwał z półki dwie miseczki, napełnił jedną zielonkawym płynem i wychylił się przez okno, gdzie przez chwilę pieczołowicie oblewał naczynia gorącym naparem. Wreszcie wrócił, postawił na stole czystą porcelanę i podniósłszy wysoko dzbanek perlistym strumyczkiem nalał herbaty.

– *Here you are* – wyrecytował z uśmiechem. – Zaraz jemy – i wyszedł. Dziadek wciąż skrzypiał.

Robert zawołał za nim, ale bezskutecznie. Chciał pójść za chłopakiem, ale wymagałoby to przejścia pomiędzy skrzypiącym dziadkiem a podścienną czwórką, co z powodu ewentualności ściągnięcia na siebie ich wzroku nie napawało nauczyciela szczególnym entuzjazmem. Zanurzył usta w gorącej cieczy. Cierpka, smaczna, skonstatował bezwiednie. Gdyby nie zraził się był do lekcji chińskiego, które proponowała mu szkoła, mógłby spróbować porozmawiać z Li, z jej ojcem, z resztą, a tak, bez pośrednictwa Mike’a, milczenie wzbierało i trzeba było uciekać się do azylu, który oferowała herbata. Tylko kto mógł być wytrzymać półtorej godziny z nauczycielką, która o nauce własnego języka miała jeszcze mniejsze pojęcie, niż o nauce angielskiego? Skąd Li się tu wzięła, kołatało mu w głowie. Podniósł wzrok – tak, stała tutaj, chociaż jeszcze kilka (kilkanaście?) minut temu zniknęła pod powierzchnią wody.

Jak ukłuty szpilką Robert sięgnął za plecy. Przesunięty do tyłu futerał wciąż tam był, ale miękki. Lekki. Pusty. Zerwał się i odwrócił. Nie było wątpliwości.

– Nie! – wyrwało mu się. W pierwszym momencie w serce ukłuła go świadomość straty setek zdjęć z podróży. Dopiero po chwili uświadomił sobie brak dowodu, że tamta dziewczyna w rzece, to była Li. Ale ona przecież tu stała. Trzy metry od niego.

– Mike! – krzyknął i nie przejmując się już spojrzeniami sąsiadów pobiegł tam, gdzie zniknął przyjaciel. – Mike!

Chłopak stał przy oknie kuchni. Po drugiej stronie obca dziewczyna błyskawicznymi ruchami tasaka szatkowała na okrągłej desce zieleninę o grubych łodygach i żółtych kwiatkach. Z sufitu zwieszały się na wysokości twarzy dwa oskubane kurczaki, śmierdziało rybami albo krewetkami.

– Zaraz będzie jedzenie. Jest pyszne – powiedział Mike, poprawiając okulary.

– Mike, w rzece topi się dziewczyna – chciał krzyknąć Robert, ale powiedział to z dość zaskakującym dla siebie samego opanowaniem. – Myślałem, że to Li, ale to ktoś inny. Trzeba tam popłynąć.

– OK., OK. – W głosie chłopaka była kojąca pewność. – Powiedziałem kuzynowi komu ma powiedzieć. Będzie OK. Nie martw się.

– Aha.

Robert poczuł wreszcie przyjemne rozluźnienie. Sprawa nie zależała już od niego. Zrobił, co miał zrobić, teraz kto inny zajmie się ratowaniem Li. To znaczy, dziewczyny.

Ta myśl otrzeźwiła go. Nie mógł się chyba aż tak pomylić! Nie przyjechał tu przed chwilą, zdążył wystarczająco naprzyglądać się Li, by odróżnić ją od jakiejś innej miejscowej kobiety. Zresztą identyczność Chińczyków okazała się bajką, jak wiele innych stereotypów, z którymi tu przyjechał. I pomachała do niego. Właśnie.

– Myślałem, że twój kuzyn poszedł zrobić herbatę? – zagadnął, obawiając się tego, co może usłyszeć. Ale Mike go nie zawiódł.

– Powiedział jej siostrze – wskazał na dziewczynę – a ona poszła do ojca, on ma łódź, wiedział co robić.

– To dobrze.

Chwilę obserwowali sprawne ruchy smagłych dłoni. Wreszcie ostatnia porcja zieleniny powędrowała do miski. Dziewczyna odłożyła naczynie i wstała. Mike powiedział coś, czego Robert znowu nie zrozumiał. Zaczynało go to denerwować jak nigdy przedtem.

Chinka kiwnęła głową, odpowiedziała i wyszła, wycierając pozieleniałe dłonie w fartuch. Mike uśmiechnął się i poprawił okulary.

– Chodź do pokoju, dokończymy herbatę.

Dziadek już się nie kiwał, teraz kimał oparty o ścianę. Czwórka z sąsiedztwa kucała z zamkniętymi oczami, kuzyna nie było, a Li swobodnie opierała się o futrynę okna, zalotnie spoglądając na nauczyciela. Zmiana w jej zachowaniu zdumiała Roberta, ale nie Mike'a, który wesoło zagadał coś do siostry. Ta uśmiechnęła się bez słowa, nie odrywając oczu od mężczyzny.

– Może herbata jest już zimna – zauważył chłopak i zabrał czajnik z czarnym smokiem z powrotem do kuchni. Robert usiadł na ławie, czując się trochę nieswojo pod ostrzałem brązowych oczu. Przez chwilę starał się zmierzyć z nimi w pojedynku na spojrzenia, ale poddał się po kilku sekundach. Nie mógł jakoś podjąć flirtu. Jeszcze nie tak dawno strzelał oczami do co powabniejszych Chinek, teraz jednak nie potrafił. Li podobała mu się, fakt, ale... Nie zdążył poukładać sobie odczuć, bo wrócił Mike. Smok znowu mienił się barwami.

– Dobra herbata?

Nauczyciel z ulgą nachylił twarz ku parującej miseczce. Nie było lepszego pretekstu, by uciec ze wzrokiem. Sączył zawartość tak długo, aż usłyszał Mike'a. Przyjaciel podawał mu słoiczek z białą maścią.

– Daj to na ramię, nie zaboli.

Ból jakoś nie mógł się dotąd przebić do świadomości Roberta. Mimo tego posłusznie nabrawszy na palec wodnistej mazi delikatnie wtarł lek w rosnący pęcherz. Żadnego efektu nie było, ale ze słowami podziękii oddał słoiczek i zabrał się do herbaty.

– Podoba ci się Longjiang? Góry są bardzo piękne.

Robert odstawił próżną miseczkę. Mike skwapliwie uzupełnił zawartość.

– Bardzo. To naprawdę piękna okolica. I jest tutaj tak spokojnie, aż dziw bierze, że nie ma turystów.

– Obok są już – Mike na razie ograniczał się do wdychania aromatycznej pary. – Las Kamienny nie jest daleko, tam dużo pięknych skał, nawet *laowai* przyjechali. I jaskinie, cztery bardzo wielkie bardzo piękne jaskinie, też z zagranicy turyści byli. Ale tu nie mamy tego, więc nie przyjechali.

Robert pokiwał głową. A więc jednak. Pewnie niedługo ktoś wpadnie na pomysł zrobienia interesu na naturalnym pięknie pobliskiej doliny. Jeszcze chwila, i nieskalany krajobraz przejdzie do historii.

Aparat! A w nim zdjęcia doliny.

– Zgubiłem aparat – odstawił herbatę. – Biegłem tutaj i musiał mi wypaść. Pomożecie mi szukać?

Mike pokiwał głową w milczeniu, obracając w palcach naczynie. Wydawał się nagle zajęty czymś innym, jakby jakaś myśl właśnie przyszła mu do głowy. Nauczyciel wpatrywał się chwilę w skupioną twarz, aż wreszcie uświadomił sobie, że też jest obserwowany.

Li nie przestała nań patrzeć. Coś było w jej wzroku, lekkim uśmiechu, co niepokoiło, zamiast intrygować. Gdyby podobnie przyglądała mu się w pierwszym miesiącu pobytu jakaś równie ładna Chinka, dawno już starałby się nawiązać rozmowę, nie zważając na barierę językową. I pewnie by się udało. Co się z nim działo? Co się z nią działo? Czyżby wczorajszy spacer tak zawrócił jej w głowie? A może jemu?

Potrząsnął głową. Zawrót głowy był faktem, chociaż nie miał chyba wiele wspólnego z bliskością kobiecego ciała. Rozkojarzenie nie chciało ustąpić. Jeszcze raz potrząsnął głową, a potem mocno ścisnął skronie. Coś było bardzo nie tak. Widział podwójnie.

Nie, nic nie widział.

Bzyczenie narastało. Coś, co przywodziło na myśl eskadry żółtych, czarnych i brązowych os muskających zwisającymi odnóżami twarz nauczyciela gęstniało z każdą sekundą. Chciał oczyścić dłonią rozedrgane powietrze, ale omdlałe ramię opadło bezwładnie. Wciskając głowę w trawę zamknął insektom drogę do ust i nosa; inwazji owadów do swego wnętrza bał się najbardziej. Ale bzyczenie trwało, stawało się coraz głośniejsze, na domiar złego narastał jakiś miarowy szelest. W odruchu obrony podciągnął ociężałe dłonie ku twarzy.

– Robert!

Uścisk rąk na ramionach, szarpnięcie, podniesione głosy.

– Robert? Słyszysz mnie, Robert? To ja Mike! Jak się czujesz, wstawaj, idźmy do domu!

Zmusił się do podniesienia ciężkich powiek, ale zrazu niewiele zobaczył. Zamrugał kilkakrotnie, potrząsnął głową.

– Widzisz mnie, Robert?

Tak, to był Mike, za nim jeszcze ktoś, chyba jego kuzyn, ale Robert ciągle nie mógł spędzić z oczu uporczywej mgły. Mruknął tylko, zakasłał i próbował wstać. Tak, to był kuzyn Mike'a. Obaj pomogli mu stanąć na nogi.

Znajdowali się na łące, kilkadziesiąt metrów od rzeki. Nad brzegiem tłoczyła się liczna grupa ludzi, dalsi nadbiegali od strony drzew. Niedaleko, na łagodnej fali, kołysały się dwie łodzie. Mike z kuzynem chwycili Roberta pod pachy i wolnym krokiem zaczęli oddalać się od rzeki.

– Co się dzieje? – wymruczał z trudem. Czuł się niezdrowo osłabiony. Omdlewające ciało stawiało opór, przytłumione zmysły od rzeczywistości dzieliła gruba warstwa waty. Gorzej czuł się chyba tylko raz w życiu, po zabiegu chirurgicznym pod narkozą, brakowało jedynie wymiotów. Ledwo o tym pomyślał, zebrało mu się na mdłości.

– Idźmy do domu – powtórzył Mike, sapiąc z wysiłku. Razem z kuzynem musieli przejąć cały ciężar niesionego mężczyzny, którego nogi bezwładnie wlokły się po ziemi. – Idźmy do domu ...

– Co się stało? – Robert potrząsnął głową, za wszelką cenę usiłując odzyskać jasność umysłu. – Mike, gdzie ja jestem? – zapytał, zanim budzący się powoli mózg przestrzegł go przez banalnością tego pytania.

– Nad rzeką, osa cię kąsiła. Widzisz ramię? – Mike wolną ręką pociągnął za rękaw koszuli nauczyciela.

Cały bark był jednym wielkim obrzękiem. Zaczerwieniona skóra przebłyskiwała tu i ówdzie bielą wodnistego pęcherza. Kołnierzyk przesunął się po podrażnionym obszarze, wyciskając z ust Roberta syk.

– Szlag by to... – wymamrotał i stanął mocniej na nogach. Ból otrzeźwił go nieco, wata oddzielająca od świata mocno się przerzedziła. Rozejrzał się, nie bacząc na pieczenie naciąganej skóry.

Zbiegowisko na brzegu było ciche, chociaż w ruchach nadbiegających osób widać było nerwowość i podniecenie. Jedna z łodzi zbliżyła się niemal do samego brzegu, ktoś stał po pas w wodzie.

– Co się tam stało? – Robert z wysiłkiem wykręcał głowę do tyłu. – Mike, tam się coś stało. Powiedz mi! – podniósł głos, bo przyjaciel wydawał się nie słyszeć.

– Nie martw się – usłyszał w odpowiedzi.

Coś go tknęło.

– Hej, zatrzymajcie się! – próbował stawić opór, ale obaj uparcie odciągali go od rzeki. – Mike, do cholery! – zaklął i wbił nogi w ziemię, jednocześnie próbując wyswobodzić ręce z uchwytu. – Puśćcie mnie, no!

Pierwszy poddał się kuzyn. Odsunął się na bok, pozbawiając lewą nogę nauczyciela wsparcia, ale Robert pokonał już słabość, odepchnął Mike'a i zawrócił, coraz szybciej pracując przez wysoką trawę. Po sekundzie Mike znów był przy nim.

– Robert, tam jest źle. Uważaj. Osa cię kąsała. Nie jesteś silny.

– Co się stało do cholery! – krzyknął Robert, ale nie chciał już słuchać wyjaśnień. Chciał zobaczyć na własne oczy. Mike chyba to zrozumiał, nie mówił już nic, wyprzedził mężczyznę, roztrącił tłumek i stanął nad brzegiem i nad ciałem Li.

Dziewczyna leżała na wznak, mokre kosmyki ciemnych włosów splatały się ze źdźbłami trawy.

Robert stał nad nią, tak jak stali wszyscy inni. Mike nie patrzył na siostrę. Patrzył nauczycielowi w twarz. Cień łodzi falował na powierzchni mętnej toni.

– Mówiłem! – wyrzucił z siebie Robert i zaczerpywał tchu, by wykrzyczeć oskarżenie pod adresem niedowiarstwa i głupoty, które nie pozwoliły uratować dziewczyny, kiedy jeszcze była po temu szansa, gdy wtem widok Li kulącej się w kącie, Li patrzącej uwodzicielsko, zderzył się z widokiem Li stłamszonej, rzuconej na mokrą trawę i zamknął mu usta. Ktoś wyszedł z tłumu i ujął ciało za nogi, ktoś inny pod ramiona i improwizowany kondukt ruszył brzegiem rzeki. Łodzie zaczęły się oddalać.

– Mike! – Robert z całej siły zacisnął oczy i potrząsnął głową, ale obraz nie zniknął. – Mike! Jak to, twoja siostra? Przecież widziałem ją w domu! To musi być jakaś inna dziewczyna! Kto to jest!?

– Li się utopiła – Mike patrzył na przyjaciela zza poprawianych nieustannie okularów. – Byłbyś gdy nie zemdłał by się może ją uratować. – Karykaturalna gramatyka w innych okolicznościach rozbawiłaby Roberta, teraz jednak przeszkadzała tylko w zrozumieniu sensu zdania.

– Zemdłał? Ja zemdlałem? Przecież byłem u was, mówiłem ci, biegłeś tu... – Obraz skulonej w narożniku pokoju Li mignął Robertowi przed oczami. – Mike, mówiłeś, że kuzyn zawołał ojca tej dziewczyny z kuchni, on ma łódź... – Chaotyczne myśli nie chciały poukładać się w logiczną całość.

Mike poprawił okulary. Po co? Po co znowu to robił?

– Nie mówiłem – odparł spokojnie. – Nie wiem, co mówisz. Bo kuzyn szedł za tobą, jak zobaczyliśmy, że cię nie ma, żebyś się nie zgubił i zobaczył, że Li się topi, wrócił po nas, ale już za późno. – Zdjął okulary, wyjął chusteczkę, zaczął powolnymi ruchami polerować szkła. – Ciebie zobaczyłem w trawie, bo myśleliśmy, że skoczyłeś do wody i też utopiłeś się, ale ty zemdlałeś. – Robert nie był pewien, czy wyczuł rezerwę.

– Ale ja pamiętam jak z tobą rozmawiałem, mówiłem, że się topi! – To wszystko było bez sensu, ale Robert parł w ten bezsens; nie widział śladów za sobą, nie miał jak zawrócić.

– Nie – uciął Mike i założywszy okulary, palcem uzbrojonym w długi na dobre półtora centymetra szpon wskazał ramię Roberta. – Osa cię kąsiła, zemdlałeś i... – chwilę szukał słowa – przyszły sny, przyśniło ci się coś.

Potem odwrócił się i ruszył w ślad za oddalającymi się ludźmi.

Robert przecesał całą łąkę tam, którą mógł przebiegać zanim się przewrócił i stracił przytomność, ale aparat zapadł się pod ziemię. Kiedy stwierdził jego brak w futerale, zawładnęło nim przemożne uczucie deja vu. Bez wytchnienia kontynuował poszukiwania, tak naprawdę nie tyle po to, by odzyskać sprzęt, ile by odwlec moment powrotu do domu Mike'a i zanurzenia się w atmosferze domu, w którym kogoś już nie było.

Nie rozumiał nic z wydarzeń dzisiejszego dnia. Li utonęła. Sama jej śmierć była ogromnym wstrząsem, ale okoliczności tej śmierci, jaskrawość i wyrazistość sprzecznych przecież do obłędu obrazów zapisanych w pamięci nie pozwalały mu dojść do siebie. Z rękami zanurzonymi w huczącej od życia trawie, nie odganiając już nawet wyległych nie wiadomo skąd watah olbrzymich ważek, szeptał „Aparat, aparat”, stawiając w ten sposób zaporę zbyt trudnym do ogarnięcia obrazom. Ale dwie nakładające się na siebie wizje, kokieteryjnie uśmiechniętej twarzy dziewczyny oraz jej mokrych, splątanych włosów na trawie nie dawały mu spokoju. „Aparat!”, podnosił wtedy głos, zagłuszając krzyczące obrazy. One jednak uporczywie wracały.

Pęcherz na ramieniu pulsował miarowym pieczeniem. Czy to rzeczywiście halucynacje, „sny”, jak to ujął Mike, spowodowane jadem osy? Robert gorąco chciał w to uwierzyć, ale wciąż nie mógł. Oby tak było, prawie się modlił. Jeśli tak nie jest, to chyba oszalełem. Albo oszaleli oni wszyscy.

Była niedziela, jutro o 9:40 trzeba zacząć zajęcia, uprzykrzona grupa 3., nastolatki w wieku najgorszym pod każdą szerokością geograficzną. Szkoła, jeszcze przedwczoraj determinująca całą egzystencję Roberta i jego postrzeganie otoczenia, wydawała się teraz czymś nieskończenie odległym i nieistotnym, wręcz abstrakcyjnym. Istotna była osa, przed którą trzeba się uchylić, bzyczenie much, delikatny chłupot fali, śmierć Li. Tak, już najwyższy czas.

Wyprostował napięte plecy, odgonił zawieszony w powietrzu tuż koło jego twarzy ważki, otarł z czoła lepki pot. Za kilka minut będzie w domu rodziny Mike'a. Nie wiedział, co powie i co jemu powiedzą. Coś powie, coś powiedzą, jakoś to będzie. Odwrócił się plecami do Skały, wbrew nazwie rozpalonej słońcem, i brodząc w trawie ruszył ku drzewom.

Dom już z daleka wyglądał na pogrążony w żałobie, choć więcej w tym było wyobrażeń Roberta niż obiektywnych znamion. Wokół nikt się nie plątał, tylko lilipucich rozmiarów drób dreptał tam i sam. Robert z bijącym sercem wszedł do wnętrza.

Pokój był pusty, w powietrzu unosił się zniechęcający zapach. Postąpił kilka kroków i zajrzał do kuchni.

Przygotowania do posiłku trwały w najlepsze. Z woka dolatywało syczenie, nad garnków unosiła się nieapetycznie pachnąca para. Mike przywitał przybysza skinieniem dłoni i kontynuował rozmowę z kuzynem. Poza nimi w kuchni kręciło się kilkoro sąsiadów czy dalszej rodziny.

Roberta zaskoczyła ta codzienność. Oczekiwał atmosfery zgoła innej niż ta, którą zastał. Z trudem przełknął niespodziankę, zwaliwszy wszystko na karb różnic kulturowych – takie podejście nie raz pomogło mu poradzić sobie z realiami Państwa Środka, choć nigdy niczego nie wyjaśniało.

– Robert, dobrze że jesteś tu – Mike odprawił kuzyna i odwrócił się z uśmiechem. – W samą porę. Zaraz obiad będzie. Jest pyszny. Chodź, siadaj tam.

Nauczyciel bez przekonania dał się zaprowadzić z powrotem do głównego pokoju. Mike grzecznie wskazał krzesło, ale Robert potrząsnął głową.

– Nie, nie będę jadł.

Twarz Chińczyka przybrała zagadkowy wyraz. Dłuższą chwilę patrzył w milczeniu na nauczyciela.

– Nie jesz z nami? – zapytał wreszcie, łapiąc się lewą ręką za prawe ramię, jakby nagle coś zaczęło go swędzieć.

– Nie, nie mam ochoty. I chyba jest to zrozumiałe – wyrwało się Robertowi trochę zbyt ostro. Prawie ugryzł się w język, ale oburzenie wzięło górę. Czemu on tak tępo spoglądał?

– Mike, twoja siostra nie żyje, jakoś nie mam ochoty na jedzenie w takich okolicznościach i nie wiem, jak ty możesz mieć! – zacisnął zęby, twardo patrząc w oczy przyjaciela.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Ukryte za okularami oczy były przeraźliwie nieruchome.

– Bo Li zabrali już – odparł w końcu chłopak, jakby to cokolwiek wyjaśniało. Robert chciał prychnąć, ale nagle zmienił zdanie.

– U nas jest nie do pomyślenia, żeby ot tak, beztriosko pichcić sobie obiad zaraz po tym, jak ktoś bliski przeniósł się na tamten świat! Naprawdę macie zamiar teraz jeść? – wypalił bez ogródek. – Czy do was dociera, że właśnie straciliście członka rodziny? Mike, właśnie zginęła ci siostra, a ty zajmujesz się obiadem?!

Nie wiadomo kiedy nagromadzony bagaż niezgody na otoczenie znalazł nagle ujście. Obcość tych ludzi uderzyła nauczyciela na odlew, ich dziwne zachowania, dotychczas przyjmowane z zaintrygowaną tolerancją, przekroczyły raptem cienką granicę akceptacji. Nie chciał i nie mógł przejść do porządku dziennego nad tym, czego był świadkiem.

– Nie jesz? – powtórzył Mike i poprawił okulary.

Serce Roberta przeszły nagły skurcz. Boże, on nic nie rozumie! przemknęło mu przez głowę. I strach, strach człowieka zdanego na łaskę obcych, o setki jeśli nie tysiące kilometrów od najbliższej osoby wyznającej podobne wartości, wreszcie go ogarnął.

– Nie jem – odpowiedział bezzadnie i uświadomił sobie, że w ten sposób być może pali ostatnie mosty łączące go z tym chłopakiem z supermarketu, z którym przegadał kiedyś tyle godzin.

Ale Mike zdawał się być nieporuszony.

– Po obiedzie jedziemy – powiedział bezzadnie. – Pojedziemy motorem do dworca autokarów. Tam wejdiesz do autokaru do Guangjin, pojedziesz sam dalej, bo ja już nie jadę tam tylko wracam tu. OK?

– OK. – Robert kiwnął głową. Nie był pewien, czy uczucie, które wywołała w nim ta zapowiedź, można było nazwać ulgą.

Mike odkiwnął, drapiąc się po łopatce i zaczął odwracać się w kierunku kuchni, gdy wtem wpół obrotu przystanął:

– Idź na spacer, zrobić jeszcze zdjęcia – rzucił przez ramię i wpatrzył się głęboko w oczy nauczyciela.

– Zgubiłem aparat – powiedział wolno Robert, odwzajemniając spojrzenie.

– Aaa? – Skinienie głową. – Gdzie?

– Chyba nad rzeką.

– Aha. Pomóc ci poszukać? – poprawienie okularów.

– Już szukałem.

– Nie znalazłeś? – Bezruch.

– Nie.

– To niedobrze. – Wątki uśmiech. – Do zobaczenia po obiedzie.

– Na razie.

Robert został sam w pokoju. „Pojedziesz sam dalej” powtórzył w myślach. Aparat, gdzie ten aparat?

Potrząsnął głową. Tak rozkojarzony dawno już nie był. Napiłby się czegoś, najlepiej zimnego piwa, żeby odzyskać jasność myśli. „Przewietrzyć się,” zaświtała mu desperacka myśl.

Duszne, ciężkie powietrze na zewnątrz nadawało się do wszystkiego, tylko nie do orzeźwiania. Ruszył szybkim krokiem, aby chociaż w ten sposób poczuć na spoconej twarzy powiew wiatru. Niemiłosierne słońce migotało między gałęziami, ale cień nie przynosił ulgi, powietrze wśród drzew było jeszcze bardziej nieruchome. Zwolnił kroku; nie było sensu się forsować. Motorem na dworzec autobusowy. Może być fajnie, pamiętał, jak jedna z nauczycielek wzięła go kiedyś na przejażdżkę skuterem po tłocznych ulicach miasta. Jazda górską szosą mogła być nawet bardziej ekscytująca.

Skalka z bambusami na szczycie nie od razu zwróciła uwagę Roberta. Musiał obejść głaz z drugiej strony, by doznać bolesnego olśnienia. Fala *deja vu* wezbrała gwałtownie. Biegł tędy, w stronę domu, z wieścią o Li, tak niedawno temu. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek.

Roślinność pleniła się nienaruszona, nic nie poświadczało, że Robert już tu kiedyś był. Nic, poza wrytym w pamięci obrazem panicznego biegu. Zacisnął powieki. „Nie martw się”. Zaczerpnął tchu i ruszył przed siebie, w głąb zapamiętanej drogi.

Łąka żyła własnym, samowolnym życiem. Z każdym krokiem Robert oddalał się od domu Mike’a – tam także życie toczyło się według siebie tylko znanych reguł. Przez mgnienie poczuł ukłucie żalu. Nie musiał tak ostro mówić z Mike’iem. Być może powinien był delikatniej dać do zrozumienia, jak niestosownie czuje się w tej sytuacji. Ale mokre włosy Li na trawie nie pozwalały o sobie zapomnieć.

Dobrnął do kresu łąki. Wysoko stojące słońce odbiło się od łaciatej tafli pola ryżowego. Wiedział, że zastanie je w tym miejscu, choć przecież miał nie być tu nigdy wcześniej. Ale już uwierzył wspomnieniom. Jeżeli coś było halucynacją, to na pewno nie tamten szaleńczy bieg po ratunek.

Gdyby nawet kołatała mu się jeszcze gdzieś w duszy resztką zwątpienia, to uciszyłby ją srebrzysty kształt skrzący się między łądogami. Robert schylił się powoli, pieczołowicie rejestrując w pamięci każdą chwilę.

W wodzie tkwił zanurzony do połowy aparat cyfrowy.

Dom pogrążony był w ciszy. Stos brudnych miseczek i talerzyków w kuchni był jedynym śladem po obiedzie. Po obiedzie? Już po obiedzie? Zza okna dobiegało odległe gdakanie. Robert wyrzwał na zewnątrz, ale inwentarz także pozostawiono samemu sobie. Z westchnieniem odwrócił się do środka pokoju. I wstrzymał oddech.

Stał tam, na półeczce po przeciwległej stronie, na wysokości ramienia. Słoiczek z maścią na ukąszenia osy.

Dłoń sama powędrowała ku kieszeni na piersi, gdzie spoczywała karta pamięci z zamkniętego aparatu. Nie trzeba już było kolejnych dowodów realności rzekomych halucynacji. Każdy następny mógł raczej zaszkodzić niż pomóc. Robert z trudem oderwał wzrok od słoiczka.

Mógł to być jęk, mogło też być słowo, którego nie znał, o co nie było trudno. Dźwięk dobiegł z góry, słaby, lecz w ciszy dobrze słyszalny. Nie powtórzył się, ale Robert tego nie potrzebował. Stąpając cicho przemierzył pokój i jał wspinać się po wąskich schodach.

O przymknięte okno półpiętra tłukł się ociężałe wielki czarny motyl. Robert przezwycięzając wstręt złapał owada w skuloną dłoń i otworzywszy skrzypiącą okiennicę wypuścił na zewnątrz.

Wynurzał się zza załomu korytarza z duszą na ramieniu, ale i z przekonaniem, że cokolwiek by zrobił, i tak będzie żałował. Oczom jego ukazał się zagracony pokój z jednym oknem i wąskim łóżkiem z nagą ruiną stelażu po moskitierze.

Pośród zaścielających podłogę szpargałów i rupieci, przy ścianie przykrytej makatką, stała Li. Taka, jaką zapamiętał sprzed utonięcia, kuląca się i bezładnie poruszająca ustami. Z jedną różnicą – oczy miała szeroko otwarte.

Chrapliwy warkot motoru i zgrzyt opon hamujących na żwirze rozległy się zbyt blisko, by można je było zignorować. Li wpiła się spojrzeniem w twarz Roberta, kiedy ten podchodził do okna, ale nie odezwała się, nie drgnęła nawet. Nauczyciel odgarnął stos plastikowych listew i wspiął się na palce, by wyrzucić przez wysokie okno.

– Mike!

Chłopak właśnie schodził z motoru. Na okrzyk Roberta zadarł głowę w górę i mrużąc oczy zawołał coś po chińsku.

– Mike, Li tu jest! – zawołał Robert, poskramiając dziką chęć wykrzyczenia tego ile sił w płucach. – Znalazłem ją tu w pokoju! I aparat też! – dodał bez większego sensu.

– To dobrze! Schodź na dół, musimy jechać, bo czasu mało.

Robert bardziej wyczuł, niż usłyszał, że Li się poruszyła. Rzucił okiem do wnętrza. Dziewczyna stała już wyprostowana i uśmiechała się nieśmiało.

Przełknął ślinę i odwrócił się do Mike'a.

– Przecież widziałem ją nad rzeką! Przecież mówiłeś, że się utopiła, że ją zabrali. Co ona tu robi? – Już nie chciał krzyczeć.

– Bo zabrali ją do lekarza, mówiłem – Mike z powrotem dosiadł motoru. – Było nie tak źle jak myśleliśmy. Teraz ją przywieźli i już będzie OK. Schodź na dół, musimy jechać!

– Mówiłeś, że się utopiła – powtórzył Robert, słysząc za sobą szelest. Nie odwrócił się.

– Pomyliłem się. Szybko schodź, naprawdę czasu mało, Robert, OK?

Nauczyciel skinął głową i odwrócił się. Li siedziała na łóżku, nieśmiałym spojrzeniem jakby przeproszając za zamieszanie, które wywołała. Zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu i nie oglądając się za siebie wyszedł. Pożegnanie uwięzło mu w gardle.

Na dole zaaferowany Mike wręczył mu plecak i nagłymi gestami wygonił na zewnątrz. Po chwili sam opuścił budynek, na migi poinstruował Roberta, jak ma siedzieć i podkręciwszy jazgoczący silnik w chmurze pyłu opuścił podwórze. Robert kątem oka dojrzał w oknie na piętrze sylwetkę dziewczyny. Nie pomachał na pożegnanie. Musiał się krzepko trzymać, stalowy uchwyt za plecami był naprawdę wąski.

To pnąca się stromo, to znowu opadająca głęboko droga nie pozwalała na rozmyślanie. Straceńczo brane zakręty i zwisające liście, przed którymi wciąż trzeba się było uchylać, zmuszały do koncentracji tylko i wyłącznie na jeździe. W pędzie pokonali wiraż wokół jaru o niemal pionowych ścianach, nad którym snuły się nitki mgły, i po kilku minutach wypełnionych hukiem powietrza wyjechali na prostą. To nie była droga, którą przyjechali wczoraj. Skały i rzeka zostały po drugiej stronie gór, tu rozciągała się barwna monotonia łąk i upraw. Bydło nie reagowało na ich ryczący motocykl, gdy mijali pędzone poboczami stadka. Szerokoskrzydłe plecione kapelusze zasłaniały twarze wieśniaków.

Wokół coraz gęściej pojawiały się domy, zrazu byle jak sklecone chałupy, potem, kiedy wjechali w miasto, wąskie kilkupiętrowe budynki wyrastające niemal bezpośrednio z jezdni. Tu Mike musiał zwolnić, czego skutkiem było nie tylko zastąpienie świeżego powiewu zatykającym zaduchem, ale i powszechne zwrócenie uwagi na pasażera. Zewsząd z leniwej fali wlokących się motocykli i furgonetek spoglądały zdumione twarze, wyrastały wyciągnięte ręce. Komentarze ginęły w ryku silników i zgiełku klaksonów.

Droga zdawała się nie mieć końca. Kiedy Mike skręcił w nadspodziewanie mało uczęszczaną przecznicę Robert przez chwilę sądził, że chłopak chce ulżyć mu w męce i poszukać przyjemniejszej drogi, ale zamiast tego po przejechaniu kilkudziesięciu metrów nieoczekiwanie zatrzymał motocykl i rzuciwszy tylko „zaczekaj tu” zniknął w odrapanym budynku.

Nauczyciel siedział jeszcze chwilę na motorze, ale poczuwszy, że jazda dała mu się nieco we znaki, zdecydował się rozprostować nogi. Przed budynkiem, jak i przed całym rzędem monotonnej zabudowy, nie było ani skrawka trawy. Co tylko się dało, zostało wybetonowane lub zasypane gruzem pozostałym z robót budowlanych. Nieznośny żar raził z góry i z dołu, szybko wybijając z głowy jakikolwiek zamiar rozejrzenia się po okolicy.

Już po kilku minutach na czarnym siedzeniu motoru można było smażyć krewetki. Robert westchnął i poszukał wzrokiem cienia, ale jedyny skrawek terenu osłonięty przed słońcem znajdował się po drugiej stronie ulicy, pod obskurnie wyglądającym sklepem. Lepiej było odwrócić się doń plecami, tak na wszelki wypadek.

Minuty mijały, a Mike'a nie było. Pod palącym słońcem gasnące już pieczenie ramienia rozgorzało na nowo. Robert rozważał chwilę, czy zastukać do drzwi, za którymi zniknął chłopak, czy kucnąć w cieniu motoru, ale rozejrzawszy się jeszcze raz wybrał trzecie wyjście – sklep.

Miał w kieszeni kilka banknotów, a w ustach sucho, nie wahał się więc długo. W sklepie nie było nawet wentylatora, była za to pokurczona starowina kiwająca się na krześle i jeszcze starszy dziadek, który na widok Roberta najpierw zmrużył oczy, a potem rozdziawiwszy usta ściągnął kapelusz i przyłożył do piersi. Pod ostrzałem oczu Mao, spoglądającego władczo z megalomańskiego portretu, nauczyciel wziął z zakurzonej półki butelkę soku winogronowego i rzuciwszy parę yuanów wrócił na skwar ulicy.

Zanim doszedł do motoru, wypił dobry litr soku, choć ten był ciepły i miał więcej wspólnego z wodą niż z winogronami. Dawał sobie jeszcze minutę – potem miał zamiar wkroczyć do domu i przywołać Mike'a do porządku – kiedy drzwi się otwały i chłopak wyszedł w towarzystwie rówieśnika.

– To jest Zhang Cheng.

Ten nawet *Hello* nie zna, skrzywił się w myślach Robert, kiwając głową milczącemu Chińczykowi.

– To mój kolega. On do dworca cię bierze.

– A ty? – Robert pożałował, że już wybaczył Mike'owi spóźnienie.

– Ja tu muszę zostać. To już niedaleko. Zhang Cheng ci kupuje bilet do Guangjin. To cześć, Robert. Było miło cię znać.

Krótko uściśniły sobie dłonie. Robert chwilę walczył ze sobą. W końcu kiwnął głową.

– Ciebie też. To do zobaczenia i... *zaijian*.

Mike uśmiechnął się i powiedział coś po chińsku. Rzucił jeszcze kilka słów koledze i pomachawszy dłonią nauczycielowi zniknął w budynku.

Zhang Cheng nie bawił się w zbędne subtelnosci. Klepnąwszy w rozgrzaną skórę zapuścił silnik i ledwo Robert zdążył jako tako się usadowić, ruszył z kopyta. Butelka wymknęła się spoconym dłoniom i upadła na ulicę, zraszając nawierzchnię cennym płynem.

Na drodze Zhang Cheng czuł się dużo pewniej niż Mike. Sprawnie lawirując w tłoku szybko posuwał się naprzód. Rozpalona słońcem betonowo-asfaltowa rozsypanka urbanistyczna, tylko tu i ówdzie urozmaicana pojedynczą palmą, nie znudziła Roberta wyłącznie dlatego, że za każdym zakrętem spodziewał się ujrzeć targowisko albo jakąkolwiek inną miejscową atrakcję. Nic takiego się jednak nie stało. Motor zwolnił, Robert spojrzął w drugą stronę. Pokryty zaciekami prostokątny pawilon był dworcem autobusowym.

Zhang Cheng założył na koło kłódkę i nie oglądając się na pasażera zagłębił się w tłum u wejścia do budynku. Tu już Robert nie wzbudzał takiej sensacji; każdy zdawał się być

zaferowany swoją podróżą. Dopchawszy się do okienka Zhang Cheng zaczął coś wrzeszczeć, głównie chyba po to, by przekrzyknąć klientów pozostałych okienek, wrzeszczących podobnie, jeżeli nie głośniej. Po dłuższej tyradzie odwrócił się do Roberta i machając niecierpliwie przywołał go do siebie. Ten podszedł z niepokojem, ale zamiast prób nawiązania porozumienia Chińczyk zabrał się za milczące penetrowanie kieszeni koszuli nauczyciela, póki Robert nie domyślił się przyczyny i nie wyciągnął pieniędzy. W międzyczasie ktoś dopchał się do zwolnionej kasy, więc przebijanie się do przodu i tyrada zaczęły się od nowa. Wreszcie Zhang Cheng odszedł od okienka z biletem w garści. Najwidoczniej uznał, że resztę potraktować może jako napiwek, bo tylko machnął Robertowi przed nosem białym świstkiem, wskazał jakieś cyferki i rzuciwszy coś niewyraźnie rozpląnął się w tłumie.

Robert otarł czoło i starając się zachować zimną krew ruszył tam, gdzie spodziewał się postoju autobusów. Kilka pojazdów o różnym stanie technicznym i stopniu czystości stało w miejscu, dokąd skierował go zdrowy rozsądek. Przechadzał się od kierowcy do kierowcy, rzucając możliwie wyraźnie „Guangjin”, by wreszcie pokazać bilet kiwającemu głową mężczyźnie, który rzuciwszy okiem na wydruk jeszcze zamasyściej pomachał czupryną i mówiąc coś przez wyszczerzone zęby zaprosił Roberta do wnętrza wibrującego już autobusu.

Klimatyzowane wnętrze okazało się całkiem schludne i wygodne. Robert wcisnął plecak na półkę i rozparłszy się w fotelu skierował na siebie strumień zimnego powietrza. Zamknął oczy. Skwar i zgiełk miasta zostały gdzieś daleko. Nie wiedział, jak długa czeka go podróż. Ważne, że u celu było Guangjin i znajomy dworzec, spod którego odjeżdża miejski autobus zatrzymujący się tuż koło szkolnego kompleksu. Wdrapać się na piąte piętro, wyjąć z lodówki piwo i siąść na balkonie, patrząc na słońce zachodzące między wieżowcami – z tą myślą padł w drzemkę.

W kafejce internetowej nad kartą pamięci wywiązała się żywiołowa dyskusja. Z hałaśliwej wymiany Robert zrozumiał tylko wymawiane na różne sposoby słowo „digital”. Wreszcie tleniony dwudziestolatek, najwidoczniej szef, posłał któregoś ze swoich akolitów na zaplecze, a sam zasiadł przed ekranem. Robert rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu. Świadomy ciekawskich oczu strzelających zza plastikowych przepierzeń, przysunął sobie krzesło i usiadł obok szefa. Chciał przynajmniej poudawać, że ma coś do powiedzenia.

Kiedy po dłuższej chwili blondyn otworzył jakiś dziwaczny program do przeglądania zdjęć, do salki wbiegł pomocnik, dzierżąc w dłoni spowity płataniną kabli czytnik. Szef sprawnie załadował kartę, ale dłuższą chwilę zabawił pod stołem, podłączając urządzenie do komputera. W końcu otworzył odpowiedni folder i bez słowa ustąpił Robertowi miejsca.

Szuranie krzesel i tupot zwiastowały, że na atmosferę sprzyjającą skupieniu nie ma tu co liczyć. Ze stadem nastolatków tłoczących się za plecami nauczyciel otwierał kolejne pliki. Większość fotografii była dobra, cześć nawet świetna, udało się uronić jak najmniej z uroku pejzażu przemykającego za oknem autobusu, ale i tak czekał tylko na jedno zdjęcie. Jeszcze ta skała, jeszcze rzeka z tego ujęcia... Jest. Zamknął na chwilę powieki, ale widok opalonego ramienia i woalu tęczyowych kropel zdążył już utrwalić mu się przed oczami. Odetchnął i jeszcze raz spojrzął na zdjęcie.

Toń w słońcu, czarne włosy, przyjazny gest, uśmiech.

Ale to nie była Li.

Strona autorska